

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

### ISABEL

Problem z Cole’em St. Clairem polegał na tym, że można było uwierzyć we wszystko, co mówił, a jednocześnie nie wolno było Wierzyć w ani jedno jego słowo. Był tak ambitny, że łatwo można by uznać, iż to właśnie jemu uda się to, co niemożliwe. Ale jednocześnie był tak niewiarygodnie niemoralnym dupkiem, że nie można było ufać żadnemu słowu, które wychodziło z jego ust.

Problem ze mną polegał na tym, że ja c h c i a ł a m mu zaufać.

Chłopak zatknął palce za tylne kieszenie spodni, jakby próbując dowieść, że nie zamierza mnie dotknąć, o ile sama nie wykonam pierwszego kroku. Z tymi wszystkimi książkami za plecami wyglądał jak na jednym z plakatów, które można zobaczyć w bibliotece, tych z celebrytami wspierającymi czytelnictwo: „Cole St. Clair mówi: NIGDY NIE PRZESTAWAJ CZYTAĆ!”. Z takim moralizatorskim hasłem i z tym wyrazem twarzy prezentowałby się naprawdę dobrze.

W ogóle prezentowałby się cholernie nieźle.

Nagle przypomniała mi się pewna sprawa, nad którą kiedyś pracował mój ojciec. Nie pamiętałam za dobrze szczegółów – to prawdopodobnie było kilka różnych spraw prowadzonych jednocześnie – wiedziałam tylko, że chodziło o jakiegoś faceta, który w przeszłości został skazany, a potem oskarżono go o coś innego. I moja mama mówiła coś- w stylu: „Jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy”. Nigdy nie zapomnę odpowiedzi mojego ojca, bo to była pierwsza i ostatnia mądra rzecz, jaka kiedykolwiek powiedział: „Ludzie nie zmieniają tego, kim są. Zmieniają tylko to, co z tym robią”.

Jeśli mój ojciec miał rację, oznaczało to, że za tymi poważnymi zielonymi oczami, wpatrzonymi teraz w moje, nadal krył się ten sam Cole, wciąż całkowicie zdolny do upijania się di nieprzytomności i zbierania się na odwagę, żeby popełnić samobójstwo.

Nie wiedziałam, czy jestem w stanie to znieść.

W końcu powiedziałam:

- Więc twoim zdaniem lekarstwem na wilkołactwo jest... epilepsja?

Cole wydał znudzony pomruk.

- Och, to był tylko efekt uboczny. Uporam się z nim.
- Mogłeś umrzeć.

Uśmiechnął się szerokim, ujmującym uśmiechem, o którym wiedział zbyt dobrze, że jest szeroki i ujmujący.

- Ale nie umarłem.
- Nie sądzę, żeby to się liczyło jak brak skłonności samobójczych – zaproponowałam.

Ton jego głosu był lekceważący:

- Podejmowanie ryzyka nie oznacza skłonności samobójczych. Inaczej spadochroniarze potrzebowaliby poważnej pomocy.
- Spadochroniarze mają spadochrony, do cholery!

Cole wzruszył ramionami.

- A ja miałem ciebie i Sama.
- Nawet nie wiedzieliśmy, że ty... - przerwałam, bo zaczęła dzwonić moja komórka.

Odsunęłam się od Cole’a i spojrzałam na wyświetlacz. Mój ojciec. Jeśli kiedykolwiek był dobry moment, żeby pozwolić mu się nagrać na pocztę, to właśnie teraz, ale po wczorajszej awanturze musiałam odebrać.

Byłam świadoma tego, że Cole mi się przygląda, kiedy otwierałam klapkę telefonu.

- Tak, słucham?
- Isabel? – Mój ojciec był zaskoczony i... radosny.
- Chyba że masz inną córkę – odpowiedziałam. – Co by wiele wyjaśniało...

Ojciec udał, że tego nie usłyszał. Wciąż był w podejrzenie dobrym nastroju.

- Wybrałem twój numer przez pomyłkę. Chciałem zadzwonić do matki.
- No cóż, ale dodzwoniłeś się do mnie. Czego od niej chcesz? Brzmisz, jakbyś był na haju – skomentowałam jego szczebiot.

Cole w zdumieniu uniósł brwi.

- Uważaj na język – automatycznie zwrócił mi uwagę ojciec. – Właśnie dzwonił do mnie Marshall. Śmierć tej dziewczyny była kroplą, która przepełniła czarę. Dostał wiadomość, że nasza wilcza sfora zostanie usunięta z listy zwierząt chronionych. Zaczynają organizować polowanie z powietrza. Tym razem zajmą się tym stanowi, nie żadne wieśniaki ze strzelbami. Mowa o helikopterach. Załatwią to, jak trzeba. Jak w Idaho.
- Czy to już pewne? – zapytałam.
- Została nam tylko kwestia wyznaczenia terminu, zebrania środków finansowych, zasobów ludzkich i tak dalej – zapewnił ojciec.

To ostatnie trafiło w czuły punkt. „Środki finansowe i zasobu ludzkie” to były dokładnie takie główniane sformułowania, jakimi lubił się posługiwać Marshall. Mój ojciec zapewne usłyszał to od niego zaledwie parę minut temu, a teraz powtarzał mnie.

No to po ptakach.

Kuszący i zblazowany jednocześnie wyraz twarzy Cole’a się zmienił. Moja mina albo ton głosu musiały dać mu do myślenia, bo patrzył na mnie intensywnie, przenikliwie, tak że poczułam się obnażona. Odwróciłam wzrok.

- Wiesz już, kiedy to się stanie? To znaczy tak mniej więcej? – zapytałam ojca.

Rozmawiał z kimś innym. Ten ktoś się śmiał i mój ojciec też.

- Co? Och, Isabel, nie mogę rozmawiać. Mówili coś o miesiącu. Ale pracujemy nad tym, żeby to przyspieszyć. Dochodzi kwestia pilotowania helikoptera i wyznaczenia obszaru, tak myślę. Pogadamy w domu. Hej... a dlaczego nie jesteś w szkole?
- Jestem, tyle że w łazience – skłamałam.
- Och, no cóż, nie musiałaś odbierać telefonu w szkole – oświadczył wielkodusznie mój ojciec. Usłyszałam, jak jakiś mężczyzna wymawia jego imię. – Muszę kończyć. Pa, Ptysiu!

Zatrzasnęłam klapkę telefonu i wlepiłam wzrok w książki przede mną. Zobaczyłam biografię Teddy’ego Roosevelta wyłożona frontem do przodu.

- Ptysiu... - rzucił Cole.
- Nawet nie zaczynaj.

Odwróciłam się i spojrzeliśmy na siebie. Nie byłam pewna, ile usłyszałam. Chyba wystarczyło kilka zdań, żeby zrozumieć sedno sprawy. W twarzy Cole’a wciąż było coś, przez co czułam się dziwnie. Wcześniej zawsze wyglądał tak, jakby sądził, że życie jest żartem, może odrobinę śmiesznym, ale na ogół kiepskim. Jednak teraz, w obliczu tej nowej informacji, chłopak wydawał się... niepewny. To było tak, jakbym zajrzała w głąb niego, tylko na sekundę, i zobaczyła prawdziwego Cole’a, ale potem drzwi otworzyły się z cichym „dzyń” i ten Cole zniknął.

Sam stanął na progu sklepu, drzwi powoli zamknęły się za nim.

- Złe wieści, Ringo – oznajmił stary dobry Cole. – Wszyscy zginiemy.

Sam spojrzął na mnie pytająco.

- Mojemu tacie się udało – wyjaśniłam. – Polowanie się odbędzie. Czekają na pilota helikoptera.

Chłopak długo stał przy wejściu, jego szczęka drgała lekko. Było coś dziwnego i stanowczego w wyrazie jego twarzy. Za nim widniał napis „ZAMKNIĘTE”, wiszący na drzwiach księgarni.

Milczał tak długo, że już chciałam coś powiedzieć, ale w końcu się odezwał. Dziwnie oficjalnie:

- Zabieram Grace z tych lasów. Innych też, ale ona stanowi dla mnie priorytet.
- Myślę, że mogę ci w tym pomóc – odrzekł Cole.